

Jerzy Roman Krzyżanowski

Mistrzynie literackiej miniatury

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 1-2 (7-8), 268-271

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MISTRZYNI LITERACKIEJ MINIATURY

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI (Stany Zjednoczone)

Wydawanie książek — pisała Stefania Kossowska — to najważniejsze zadanie emigracji. Wszystko ma wartość chwilową i wcześniej czy później zapadnie w niepamięć, jak tyle spraw, którymi namiętnie żyli nasi poprzednicy z wielkiej emigracji i które razem z nimi umarły. Książki zostają, i w nich może zostać to co godne zapamiętania i przekazania dalej. Książka emigracji to deklaracja jej praw i swobód, wyznanie jej wiary i świadectwo prawdzie, to jej broń i sztandar, i słusznie pierwszą zbiorową wystawę książki emigracyjnej [1957 r.] urządzono w Instytucie Polskim i Muzeum gen. Sikorskiego, gdzie pamiątki wojenne przypominają o innej walce o te same sprawy*.

Stefania Kossowska opublikowała parę zaledwie książek, ale każda z nich zasługuje na trwałe miejsce w dziejach literatury emigracyjnej, gdyż każda — mimo skromnych założeń — jest „deklaracją praw i swobód”, jest „świadectwem prawdy”. Dziś, gdy ich autorki zabrakło, widać to wyraźniej niż przed laty, kiedy zebrane później pod wspólnymi okładkami, ukazywały się jej cotygodniowe felietony, na pozór zwykłe, dziennikarskie notatki z dnia bieżącego, w istocie właśnie deklaracje i świadectwa prawdy. I temu przekształcaniu codzienności w wielkość chciałbym poświęcić parę uwag.

Nie jest to sztuka ani łatwa ani mała, o czym przekonują się niezliczeni dziennikarze i felietoniści, z których wybrani tylko pozostają w rocznikach literatury. Umiejętność uchwycenia drobnych na pozór wydarzeń czy cech charakterystycznych postaci lub obiektu wymaga nie tylko talentu, ale doskonałej techniki dziennikarskiej, stopniowo, w wybranych przypadkach, przechodzącej w technikę pisarską, skąd krok już tylko jeden do prawdziwej literatury. A umiejętności takiej nabywa się nie zawsze w szkole, często bowiem szkołą tą okazuje się dobrze prowadzona redakcja, tak jak w przypadku Stefanii Kossowskiej, która pod panięńskim nazwiskiem Szurlejówna stawiała pierwsze kroki w warszawskich redakcjach, przede wszystkim w tygodniku „Prosto z Mostu”. Starannie omawia te sprawy Maciej Urbanowski w szkicu *Szurlejówna z „Prosto z Mostu”*, ogłoszonym w książce zbiorowej *Pani Stefa*, wydanej w Londynie w 1999 r., tam też odesłać należy czytelnika szukającego informacji o początkach pisarstwa autorki *Mieszkam w Londynie*. Tutaj natomiast

* S. Kossowska, *Książka emigracyjna*, [w:] teże, *Mieszkam w Londynie*. Londyn 1994 s. 271–272.

chciałbym zatrzymać się przy dwóch przykładach jej esejów, wykazujących najlepsze walory tej techniki, która pozwala dziennikarskie felietony zaliczyć pomiędzy mistrzowskie osiągnięcia miniatury literackiej. Jeden z nich — pozornie — dotyczy miejsca, drugi — osoby, ale oba mówią o czymś więcej niż tylko miejscu i osobie, co stanowi jedną z typowych metod pisarstwa Kossowskiej i nadaje im wymiar większy niż tylko felieton.

Szkic zatytułowany po prostu *Londyn* znalazł się zaraz na początku zebranych pod jedną okładką felietonów pisanych pod pseudonimem Big Ben i drukowanych w „Wiadomościach” na przełomie lat 50. i 60., a następnie w tomie *Mieszkam w Londynie* (1964). Przedstawia on jednego z coraz wtedy liczniejszych „przybyszów z kraju”, pana, o którym pisze z ironią: „Człowiek światowy, zawsze mieszkał w wielkich miastach, najpierw w Wilnie, potem w Łodzi, a i zagranicą mu nie obca: był z wycieczką w Warmie, a teraz w drodze zatrzymał się przez całe 24 godziny w Wiedniu i pół dnia i noc spędził w Paryżu. Był to mu nie zaimponuje”. Obywatel ten obecnie zdecydował się odwiedzić osiadłą w Londynie rodzinę. Szczęśliwi krewni, którzy kuzyna od lat nie widzieli (rzecz bowiem ma miejsce zaraz po „odwilży”, która przełamała wieloletni okres uwięzienia obywateli w granicach PRL) pragną pokazać mu „wszystko co jest do zobaczenia”, więc wszystkie polskie ośrodki, takie jak „Ognisko” i kilkanaście polskich restauracji, a w końcu parę sklepów, toteż gość „mógł sobie powiedzieć przed wyjazdem, że poznał Londyn”. „To takich sto pięćdziesiąt Piotrkówów razem wziętych — określił to błyskotliwie”.

I tu zabiera głos Big Ben. Wykazując imponującą znajomość geografii i historii miasta wylicza pokrótce wspaniałości angielskiej stolicy, przy czym sama tylko ich lista zdumiewa bogactwem wiedzy pisarki, która „mieszka w Londynie” i umie z tego znakomicie korzystać. Zaczynając od geografii i statystyk Kossowska prowadzi czytelnika śladami dumnej historii miasta, wskazuje (wskazuje, nie wylicza) na zabytki i muzea, przypomina sale koncertowe i teatry z ich repertuariami, wymienia nazwiska sławnych postaci odwiedzających Londyn i współczesnych turystów z całego świata, przy czym we wszystkich tych przypadkach nie ogranicza się do suchego podawania faktów, ale umie pokazać je żywymi obrazami, tak że przed czytelnikiem pojawia się „cały świat, różny, kolorowy, wymieszany na ulicy z angielskim tłumem”. Konkluzja jest prosta: „Można o Londynie bez końca. O tym, co w nim największe, co w nim jedyne, co najbogatsze, co najciekawsze. O największym na świecie krytym basenie w Wembley, o milionie samochodów rozpychających ulice, o mówcach na rogu Hyde Parku, o Imperial Institute, o...”. I zaskakująca pointa: „Rzeczywiście, Piotrków”.

Londyn, ta sześciostronicowa miniatura zawiera wszystkie elementy klasycznego utworu literackiego: dowcipna anegdota (*story*), kontrast dwóch światów pokazanych tak wyraźnie, że czytelnik sam może wyciągnąć wnioski co do ich relatywnych wartości, znajomość współczesnego środowiska i solidna wiedza historyczna, a wreszcie ironiczna klamra, która otwierając i zamykając felieton spina obie jego części w jednolitą, nierozdzielalną całość. Nie bez znaczenia jest tu wyraźne poczucie humoru, w tym przypadku ujawnione w formie satyrycznego podkreślenia wad narodowych Polaków, dla których poza ich małutkimi sprawami reszta świata nie istnieje („Zobaczysz, a jaki ogród, nawet mają własny koperek”). Temat ten pojawi się jeszcze wielokrotnie w serii felietonów poświęconych „polskiemu Londynowi”. Znakomitym elementem narracji jest barwny i żywy język („wyczałował się z panami z dubeltówki, uskakując przed nadjeżdżającym po Brompton Road autobusem, panie wycmokał po rączkach”) bezbłędnie charakteryzujący polskie środowisko, jest koloryt i nawet zapach opisów („oślizgły, śmierdzący rybami Billingsgate, pilnowany z wody przez stare, żółtkle łabędzie, spasione na odpadkach”), jest osobiste, uczuciowe podkolorowanie pejzażu („ogromne gmaszyska” w City), jednym słowem „język giętki”, znakomicie przystosowany do struktury i kompozycji całości. Kossowska okazała się prawdziwą mistrzynią literackiej miniatury, a umiejętność

tę wykazała w kilkudziesięciu felietonach składających się na tom *Mieszkam w Londynie*. Dzisiaj, po pięćdziesięciu latach od czasu ich publikacji, obrazki te nie tylko nie straciły wartości, ale stały się pewnego rodzaju dokumentem epoki, tak jak felietony Prusa do dzisiaj stanowią nieprześcignione źródło wiedzy o Warszawie sprzed lat stu pięćdziesięciu.

Felietony o Londynie i najrozmaitszych aspektach życia w tym mieście stanowią jednak zaledwie część dorobku literackiego Kossowskiej, gdyż znacznie większa ich ilość mówi o ludziach, przede wszystkim Polakach z tzw. londyńskiej emigracji. Stanowią one bezcenną dokumentację środowiska, które autorka знаła doskonale, nieomal od pierwszych dni napływu Polaków do Anglii przebywając na wyspie, gdzie dotarła tym samym pociągiem, którym do Londynu przyjechał generał Władysław Sikorski latem 1940 r. Zebrane w kilku tomikach zasługują na krytyczne omówienie podobne temu, na jakie powyżej zasłużyły felietony londyńskie. I podobnie jak w przypadku tamtych, najlepiej wybrać jeden z nich, żeby na takim przykładzie pokazać nie tylko warsztat pisarski autorki, ale odnaleźć pod warstwą dziennikarskiej rzekomo narracji drugie, zasadnicze znaczenie, bez którego istnieć nie może literatura naprawdę wartościowa.

Wybór nie jest łatwy, pisze bowiem Kossowska o pobycie w Londynie Słowackiego i Chopina równie żywo jak o ludziach, z którymi stykała się osobiście, nieraz codziennie. Na pewno na wyróżnienie zasługują felietony, czy raczej szkice literackie tak piękne, jak stylizowany na średniowieczną *Rozmowę Mistrza ze Śmiercią* (*De morte prologus*) lub może góralską bajkę *Na śmierć prof. Strońskiego*, czy bardzo osobiste wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim (*Ksawery*), a każdemu z nich, jak i wielu innym, można by poświęcić wiele miejsca, jakie bez wątpienia znajdują w przyszłych, nie napisanych jeszcze dziejach polskiej literatury emigracyjnej. Tutaj jednak można odstąpić od kanonu tekstów drukowanych w „Wiadomościach” czy późniejszej „Środzie Literackiej” i omówić szkic zamieszczony po raz pierwszy w toruńskim wydaniu prac Kossowskiej *Przyjaciele i znajomi* (1998), specjalnie do tej książki napisany.

Szkic ten tym jeszcze różni się od większości pozostałych, że mówi o postaci od Londynu stosunkowo dalekiej, choć ideologicznie najbliższej związanej z emigracją niepodległościową, a mianowicie o Jerzym Giedroyciu. Kossowska miała wszelkie prawa włączyć jego sylwetkę do swojej „galerii przodków” (jak zawczasu nazwała zbiór sylwetek osób sobie współczesnych). Współpracowała bowiem z „Kulturą” przez wiele lat i przez wiele lat utrzymywała najbliższe, osobiste kontakty z „Laffitem”, jak Instytut Literacki poufale nazywała.

Zatytułowany *Rozmyślania pod pomnikiem* szkic ten, podobnie jak pomniki, jest ponadczasowy, toteż nie jest ważne, czy napisany został przed czy po śmierci redaktora „Kultury”, jednego z niewielu ludzi emigracji, który za Horacym mógłby ze słuszną dumą powtórzyć: *Exegi monumentum*. To, co się w szkicu Kossowskiej liczy to umiejętność uchwycenia i oddania w parostronicowym tekście najważniejszych cech Giedroycia — od wyglądu zewnętrznego poczynając, a na głębokim zrozumieniu jego psychologicznego profilu kończąc. I znowu, podobnie jak w omówionym wyżej *Londynie*, szkic ten zaczyna się od skontrastowania dwóch obrazów. „Postać na pomniku — pisze Kossowska — to jeden Jerzy Giedroyc”. A w następnym akapicie dodaje: „Ten drugi, który siedzi przy biurku, którego trudno sobie wyobrazić gdzie indziej, niewiele w swej izolacji różni się od pomnikowego”. Kontrast zatem pozorny tylko, składający się na jednolitą, istotnie pomnikową postać, przy czym temat izolacji rozwinęty zostanie szerzej zarówno w rozważaniach o otoczeniu redaktora, jak o jego psychice.

Narzucona sobie taktyka codziennego postępowania jest bezwzględna dla siebie i dla innych. Własną naturę trzeba było ujarzmić, odczłowieczyć, zataić własne wrażliwości, uczuciowe i zmysłowe dystrakcje, zakuć się w najciaśniejszy pancerz, żyć zawsze w temperaturze poniżej zera (s. 19).

Każdy, kto w jakikolwiek sposób zetknął się z Jerzym Giedroyciem, nieomylnie rozpozna tu najważniejsze rysy charakteru redaktora, ci zaś, którzy znali go bliżej, odczytają w tych paru słowach ukryty dramat osobisty człowieka, który całe dojrzałe życie poświęcił jednej, najważniejszej sprawie, przez Kossowską określoną jako walka „z porządkiem świata, aby go sprowadzić na sprawiedliwe i bezpieczne drogi dla własnego narodu i dla innych”.

Ale pod postacią chłodnego pomnika kryje się żywy człowiek i autorka nie byłaby kobietą, gdyby w swojej charakterystyce tego motywu nie wykorzystwała.

Kochały się w nim kobiety — pisze — ku swemu zmartwieniu, platonicznie. Potencjalne Dalile były z góry skazane na klęskę. — „Po co on jest taki przystojny?” — zirytowała się swego czasu pewna znajoma, sama bardzo piękna, po nieudanej uwodzicielskiej wyprawie do Laffitu. Zdarzali się i mężczyźni zapatrzeni w niego (z podobnym powodzeniem). Jeden z nich, jak pamiętam, przez długi czas nosił na szyi chustkę zamiast krawata, jak JG (s. 21).

Mamy więc zarówno postać pomnikową, jak i człowieka z krwi i kości, czas zatem na konkluzję sylwetki człowieka, który „kocha tylko abstrakcje, swoje wizje, koncepcje, pomysły, postanowienia, utopie, które mogą zawieść, ale nie grożą wścibską wzajemnością, ani nie mogą zranić. Tak jak jego ptaki”. Ten niespodziewanie się pojawiający pod koniec eseju motyw ptaków nie jest tylko realistyczny, ani tym mniej przypadkowy. Kossowska przypomina, że Giedroyc zwykł codziennie je karmić, a to z kolei prowadzi do zamykającego esej obrazu, stanowiącego podsumowanie i wyjaśnienie wszystkiego tego, co zostało o redaktorze dotychczas powiedziane a co tym samym zasługuje na obszerniejsze przytoczenie:

I gdy odwrócony, oddalony od tego, co za jego plecami, sypie im chleb czy ziarno, gdy nachyla się nad kwitnącą za oknem, zasianą przez siebie maciejką i wdycha zapachy płynące z ogrodu, może w tej krótkiej chwili otwierają się jego „oczy serca”, o których mówił św. Paweł, znika gorzkość nagromadzona przez życie i ukazuje się twarz, jakiej nie zna żadna fotografia (s. 22).

Raz jeszcze mistrzyni literackiej miniatury dowiodła, że opanowała swoją sztukę do perfekcji.